

Było to w porze deszczowej.

Słyszano się po nocach żalosne beczenie kozłów, rozrywanych pazurami lamparta i chlupot nóg słoń, brodzących po zalanych wodą stepach...

Włóczyły się bez końca tysięczne Ludy Oreasów Prostorogich, wracających na swoje kamieniste wyżyny i w dziewicze górskie lasy. Uciekły przegowate Zebrzy w dżikie, urwiste ustronie Gór Smocznych.

Żołądek Hippopotama cieszył się.

Cieszyły się głupawe Mangabeye i małpy Zielone z zamieszania jakże panowało w Puszczy...

Jak więc widzicie — pora deszczowa rozhulała się nie na żarty.

Byłem wesół i mokry... Wywijiałem trąbę... Ona mi wlewała świeży napój do żołądka. Gałęzie i korzenie drzew napęczniały i rozrosły się... Nasuwały mi się same pod trąbę, abym je ułamał, zjadł i dobrze się nasycił...

Rozsadzał mnie nadmiar sił...

Górną częścią mojej królewskiej trąby waliłem w pnie drzewa, a objawszy je, trząsłem tak długo, aż runęły na ziemię nieżywe.

A ja ryczałem przeraźliwie i zwycięsko na trupach obalonych drzew.

Dlaczego? Dlaczego?

Robiłem to, co robili Ojcie moi i praojce, — co robiły już pierwsze Słonie przechadzające się po prawiecznych Puszczech.

Bo była to przecież Pora Dżdżów...

Radosny byłem ja i wszystkie Ludy Puszczy, dopóki nie nadeszła ta wielka i nieoczekiwana Chwila Śmierci, którą do dziś dnia wspominam z dławiącym uczuciem w przelyku.



Była Noc cicha i biała.

Wielkie, wydęte oczy jezior i zalewisk były mętne i szare od kotłującej wody, jak mętne jest oko antylopy zadu-

szonej przez „Simra“ i leżącej bezwładnie na cierniach z wywieszonym, sinym językiem.

Alę nad zadławioną antylopą pojawiłby się zaraz przyjacielski Sęp, aby zastygłe, ślepo otworzone oko wydziobać... A nad oczyma jezior w porze deszczowej złoty Sęp Słońca wisi bezzimny... Jego płomienny dziób nie nasyci się ich głębią...

A teraz jest Noc...

Więc wilgotny, biały jak mleko księżyc nachyla się ciekawie i zagląda w oczy świecącym na stepie kałużom. Ale nie widzi swego odbicia w szarej, mierzystej wodzie.

Obraz jego rzucony we fale poszedł widocznie, jak kamień na dno. Utopił się.

Patrzę na księżyc przyczepiony do łańcucha gwiazd. Jest to jakby orzech kokosowy zwisający z ugiętej gałęzi. Wyciągam trąbę, by go zerwać i zjeść. Niestety, jest trochę za wysoko. A wielka to szkoda, bo chciałbym bardzo wiedzieć, co to jest księżyc i dlaczego raz jest bananem, a raz orzechem kokosowym zależnie od pory roku. Myślę nawet, że on nie jest do jedzenia. Nie wiem.

Wiem tylko, że wie to z pewnością Człowiek i on jeden mógłby mi to powiedzieć... Ale jest przepaść między Słońcem a Człowiekiem, której nikt i nic nie wypełni...

Ala co to?

Ruch jakiś niespokojny w Puszczy.

Z doliny dochodzą krzyki zwierząt, które czują, że trzeba zmienić miejsce pobytu. Moją trąbę swędzi zapach nieznanego niebezpieczeństwa.

Małpy drą się, jak opętane i szybkimi jak myśl skokami urwijają się w swoim królestwie konarów, lian i liści. Słyszę, że idą gdzieś koronami drzew ku stokom góry wznoszącej się na lewo ode mnie...

Piszczą zatem i chałasują, jak murzyński bęben — (który zresztą zrobiony jest z małpiej skóry).

Małpy są głupie i ogon służy im za trąbę, czego ja nie uważam wcale za rzecz właściwą... mimoto jednak biegnę za nimi.

Wiem bowiem, że istoty głupie mają jednak dobry nos, który ostrzega je o niebezpieczeństwie...

Drapę się na stok góry i jestem już wysoko... Stoję koło akacji, która powiedziała mi: „tu już jest bezpiecznie“ i poczynam żuć jej gałązki, oglądając ze zgrozą straszny napad Wody, który nawiedził spokojną dolinę.

Olbrzymie, potworne, szumiące wały Wód, idące od dalekich brzegów Rzeki Pomarańczowej, wyciągnęły swą czarną łapę zdradziecko w ciszy nocnej i położyły ją na jasnym od księżyca stepie, jak lampart na ciele zamordowanej antylopy i wszelki twór żywy i nieżywy wgannęły pazurem fal do ciemnej, mienasyczonej paszczy. Ryk wszystkich Słoni żyjących na Czarnym Ładzie mierzym byłby wobec tego tryumfalnego wrzasku Wody, tej głupiej, Wody, która jest niepodobna do niczego i służy do picia.

Woda podeptała Puszcze.